

Daniel Odija

Zachować folwark

To było w czasach, gdy dzisiejsze wspomnienia działały się na bieżąco. Jechało się kilometr w głąb pustych pól, które latem żółkły od niskiego rzepaku. Na wiejskim skrzyżowaniu skręcało się w lewo, przejeżdżało koło zżeranego przez korniki gospodarstwa i dwieście metrów dalej w dymie suchego pyłu należało zatrzymać się przed na wpół przymkniętą bramą. To była bogata brama, metalowa i ozdobna. Witały trzy psy. Jeden duży - czarny wilczur i dwa małe jamniki. Psy nie były agresywne, bo znały. Merdały ogonami i radośnie poszczekiwały za samochodem.

Gospodarstwo otwierały długie rzędy artretycznych jabłoni. Drzewka były ukształtowane przez niewidzialną rękę, która na ich kruchych ciałach próbowała udowodnić wątpliwie zdolności w dziedzinie ogrodnictwa. Po koślawych efektach było widać, że zdolności niewidzialnej ręki nigdy nie przekroczyły pułapu radosnego amatorstwa, przekonanego o tym, że po przeczytaniu jednej czy dwu książek o sadach można dokonać rewolucji na miarę udanego skojarzenia wiśni z jabłonią.

Pomiędzy drzewkami biegało kilka kur. Były białe, bo tylko takie trzymano w dwóch wielkich kurnikach. Budynek były otynkowane na biało. Stały okazałe na lekkim wzniesieniu, długie i kanciaste jak cygara. Razem mieściły w sobie dziewięć tysięcy kur. Majątek olbrzymi, już przez sam kontrast z innymi gospodarstwami, gdzie dwie świny to dużo. Kurniki oznaczały nie tylko bogactwo, ale i władzę. Miał ją Bronisław Broda, tęgi facet, sprytny na swój sposób, z grubym wąsem pod nosem i drobną, kruchą jak herbatnik żoną Ireną. Witał wylewnie, można powiedzieć, że bez błysku nieszczeroci w oczach, błysku, o jaki często podejrzewa się ludzi zbyt bogatych jak na kraj, w którym przyszło im żyć.

Bronisław Broda był gospodarzem, mężem i ojcem z zasadami jednoznacznie ustanowionymi. Nie do odwołania jego zdanie, a decyzja nie do odwrócenia. Musiało być, jak on chciał. Żona musiała się zgadzać, cicho przyjmować ciosy pasami, a jak mąż za dużo wypił to i przełknąć twardą pięść niczym pieszczotliwe muśnięcie. Dzieciaki musiały chodzić jak zegarki, bez buntu w głowach i ruchach. Zresztą po co miałyby się buntować? Przecież wszystko im dawał. Miały co jeść i gdzie spać.

Bronisław Broda lubił zwierzęta. Dlatego sam je zabijał, by nie skazywać ich na niepotrzebne cierpienia, w których podobno lubowali się rzeźnicy. Bronisław Broda lubił też rozrywkę. Czasami brał strzelbę po ojcu i strzelał sobie. A to w niebo, a to w drzewa albo puszkę dla ćwiczenia oka, a to w ryj świni. W świnię strzelał zamiast walić siekierą, z dużego kalibru, nabojami na dzika, żeby było humanitarnie. A że później mięso mogło przejść prochem to i co? Wystarczyło przecież powiesić trupa głową w dół, by proch wyciekł z krwią w ziemię i by ziemia śmierdziała prochem a nie mięso. Tyle że wtedy ziemia rdzewiała i budziła się w niej zwierzęca nienawiść do mordercy. Nad podwórzem gęstniał mściwy duch i wygrażał świńskimi racicami. Obiecywał zemstę. Ale Broda nic sobie z tego nie robił. Pewnie czuł się na swojej ziemi.

- Zawsze lubiłem polowania – powtarzał z zadowoleniem i brał wiatrówkę, z której strzelał do wróbli, co głośno obradowały na dachu stodoły. Wróble spadały w dół **jak** bezwładne kulki **gradu**. Niektórym udawało się odlecieć, ale za chwilę wracały na dach ogłupiałe od huków i z piskiem wpadały w szczeliny wybite w powietrzu śrutem gęstym jak kasza.

Czasami też Broda walił w szczury. Tego lata zagnieździły się w oborze. Powąła i belki

strzelały drzazgami. Świnie panikowały. Głośno kwiczały. Szczury było najtrudniej trafić. Sprytniejsze od człowieka, przemykały tuż pod sklepieniem obory jak milczące błyskawice. Ale wystarczyło, by nieumyślnie strzepnęły słomkę albo nie zauważone źdźbło, natychmiast Broda walił ze śrutu. **Gęsto** i na oślep. Nigdy nie zastrzelił żadnego szczura, za to podziurawił oborę.

Po zabawie Bronisław Broda wracał do domu. Lekko zmęczony i mocno zamyślony. Głaskał synów i obiecywał, że kupi video. Będą mogły oglądać zagraniczne kreskówki. To było pierwsze video w okolicy. Nawet w mieście jeszcze nie mieli, a on już miał. Wszystkie filmy były z niemieckim dubbingiem. Kaczor Donald szwargotał po niemiecku, Myszka Miki krzyczała - Hund Pluto! Nawet Bruce Lee nauczył się niemieckiego. Przeważały kreskówki i filmy karate. Dla pikanterii Broda wrzucał sobie jakiegoś pornola - też po niemiecku. Głowę Brody wypełniały jęki i niskobudżetowa gimnastyka. Irena wstydziła się oglądać. Pogardzała nią: „Wstyd! Wstyd! Zobacz, jaka wyobraźnia! Nie to co z tobą!”

Tymczasem Irena robiła najlepszą na świecie jajecznicę. Jajecznica była tu najczęstszym daniem. Jak się ma tyle kur, to zawsze zostaną jakieś stłuczki, których sklepy nie wezmą. Trzeba zjeść albo rozdać. Broda uśmiechał się do siebie. W jego kurnikach dziewięć tysięcy kurzych tyłków wyduszało z siebie tysiące jaj, w pokorze i niewiedzy, że poza jajecznicą nic się z nich nie wykluje.

Tutaj wszyscy żyli na jajecznicy. No choćby taki Tosiek Sobola. Mieszkał na końcu wsi w rozpadającej się ruderze, którą otrzymał w spadku po ojcu. Pole jego kamieniste, zawsze leżało odłogiem. Powoli zarastało gęstym kożuchem mocno splecionych ze sobą chwastów i jałowej trawy. Tosiek Sobola ledwo przetrzymał zimą, o głodzie i mrozie, a pewnej nocy zdesperowany i wychudzony zapukał do drzwi Brody.

Ten uśmiechnął się tylko i przyjął do pracy. Odtąd Tosiek Sobola mieszkał w małym kantorku, w kurniku. Tutaj z trzema, czasem czterema sąsiadkami przemywał wilgotną szmatką zapaskudzone kurzym gównem jaja i starannie układał do papierowych wytłoczek. Stłuczki były odkładane na bok i przeznaczone dla zwierząt, taniej odsprzedawane dla ludzi z wioski. Tosiek robił sobie z nich jajecznicę. Smażył zawsze z ośmiu, dziewięciu jajek. Nikt nie widział, by jadł w tych czasach coś poza jajecznicą i chlebem. Nie pił. Nigdy nie wypił ani kieliszka. Był dobrym robotnikiem. Ciepło mu było w tym kantorku i miło.

Rozwoził paszę, wywoził kurze gówno, kontrolował temperaturę w kurniku - musiało być na tyle ciepło, by kury niosły się częściej i gęściej niż normalnie, lecz nie na tyle, by zaczęły się dusić. Bronisław Broda płacił mu mało, za mało. Gdyby Tosiek od czasu do czasu lubił sobie wypić, to przy takiej „pensji” musiałby głodować jak dawniej, ale nie skarżył się. Bronisław Broda uważał go za głupka, skoro wciąż chciał pracować za takie pieniądze. Tosiek milczał, bo mówienie nie było w jego zwyczaju. Ale po trzech latach pracy oznajmił, że wyprowadza się do miasta. Broda tylko wzruszył ramionami: „Tęsknisz za innym miejscem? Ja też czasem, ale cóż...”

I tak pewnego słonecznego poranka Tosiek Sobola wyszedł z kurnika, ubrany w odświętny garnitur, z zaczesanymi do tyłu włosami, ogoloną gębą, którą pomarszczyło niełatwe życie, i wsiadł na czarną „Ukrainę”, którą odkupił od jakiegoś pijaczka. Bez pożegnania, dumnie wyprostowany przejechał przez bramę. Teraz sprząta w mieście ulice, powoli, skrupulatnie, bez pośpiechu, jak to robił przy kurach. Liście i psie gówna, szufelka i miotła. Jest zadowolony. Nikt nim nie rządzi. Nie musi być nikomu wdzięczny. Może jeść nie tylko jajecznicę. Znalazł nawet kobietę - starsza od niego o dobre piętnaście lat, ale dobra i zaradna. Opiekują się sobą i nawet trochę lubią. „A niech się parzą” - skwitował tę wieść Broda, dla którego Tosiek był ludzką odmianą domowego

zwierzęcia.

Jednak zanim Tosiek wyjechał, w gospodarstwie przyszedł czas uboju niosek. Już trzy lata znosiły i należało wymienić je na świeższe, młodsze. Znosiły już stanowczo za mało jaj. Życie je wysłużyło.

Broda najął dodatkowych pracowników, aby „operacja” poszła jak najsprawniej i sam zakasał rękawy. Łapanka! Masa ogłupiałych ptaków nie wiedziała, o co chodzi. Zbite w gęsty tłum przesuwwały się na środek kurnika. Człowiek otaczał je z każdej strony. Chwytał po trzy, cztery do ręki. Mocno ścisnął spazmatycznie trzepoczące wiązki skrzydeł i kładł pod siekiere, specjalnie nastroszoną na kurze szyje. Zdziwione główki odpadały, toczyły się pod buty spoconego Brody, który własnoręcznie wykonywał egzekucje. Lubił obserwować rozwarłe dzioby, zaskoczone tym, co się z nimi stało. Jakby pytały: „Gdzie reszta ciała?”

Pozbawione głów szyje pluły krwią. Ślepe tułowia machały skrzydłami, podskakując radośnie w pośmiertnym tańcu, jakby zadowolone, że odrąbane główki nie ciążyą im do ziarna. Niektóre przeskakiwały z nogi na nogę nad wyraz rytmicznie, ustawione w harmonijny rząd natchnionych baletnic, wykonywały *Jeziro Łabędzie* Czajkowskiego. Aż padały porażone skurczem mięśni i tylko jeszcze skrzydła uderzały o ziemię, zbierając pod siebie proch ziemi. W końcu nieruchomiały w białe kupki pierza na amen ptasiemu Bogu.

Tosiek Sobola zbierał główki do worka, bo psy rzygały z przejedzenia. Od czasu do czasu sypał piaskiem wokół pieńka, by Broda nie pośliznął się na krwi i szedł po następną partię. Być może część kur zorientowała się, że tu chodzi o śmierć. Że raczej ubywa ich niż przybywa i wokół robi się pusto. Zaczęły mocniej przebierać nogami. Głupkowato zbuntowane, nerwowo przechylały jeszcze nie odrąbane łebki, łypały oczami i próbowały nurkować pod dłońmi.

Niektóre kury bawiły się w berka. Gdy uciekały, nieporadnie chwiały się na boki. Ale ludzie zapędzali je do wąskiego korytarza w kurniku i zagradzali drogę. Dzieciaki miały uciechę, bo do nich należało naganianie kur na Tośka Sobolę i spółkę. Ręce mężczyzn były chwytliwe jak obcęgi. Kobiety oskubywały ścięte trupy. Pióra i wnętrzności wypełniały wiadra. Choć kury były wyssane z mięsa przez wieloletnie składanie jaj, jeszcze mogły się przydać na chudy rosół. Poza tym Broda sprzedawał je po obniżonej cenie na pasztety.

Ostry, kłujący zapach roznosił się po gospodarstwie. Siekiera błyszcząca w słońcu jak lustro, w którym odbijał się kres życia. Słońce podświetlało kropelki krwi, opadające orzeźwiającym deszczykiem na spoconego Brodę. Jednej z bezgłowych kur pośmiertne nerwy udzieliły jakiejś nadkurzej siły. Całą mocą swoich zesztyniałych odnóży pobiegła w stronę ogrodzenia. Rozpędzony trup doskonale imitował życie, dopóki nie rozbił się o drucziany płot. Kurą rzuciło do tyłu. Okrwawiona szyja zachybotąła i nie znajdując oparcia, zaryła w piasek niczym struś. Czarny wilczur chwycił delikatnie jej koniec i przyniósł trupa pod nogi pana. Broda uśmiechnął się i pogłaskał swojego pupila. Obiecywał mu dużo jedzenia.

Rzeź już trochę trwała i dzieciaki się znudziły. Wszystko się pomieszało. Martwe kury od żywych odróżniał tylko brak głowy. Początkowa atrakcja stała się zbyt monotonna. Przesyt, jakim uraczył ich kurzy Holocaust, przestał je bawić. Zainteresowanie ulatywało z kolejnym trzepoczącym ptakiem. Jednostkowa agonია, gdy rozrasta się w masową zagładę, rzadko wzrusza.

I Marek, i Janek, synowie Bronisława, woleli pobawić się u podnóża wzniesienia, gdzie stało osiem sztapli starannie ułożonych desek. Fajnie się między nimi ganiało. Najlepsza była zabawa w wojnę. Ale zapomnieli, że wśród desek miały swoje gniazdo osy. Duże,

żółto-czarne spaślaki z igłami w tyłkach. Wstrzykiwały tymi igłami jad, który rozprzestrzenił się jak ogień, zamieniał ciało w napuchniętą banię, gdzie podskórna ropa drażyła robaka depresji. Cztery takie osy wbiły się w plecy małego Janka, gdy przebiegał koło ich gniazda. Pewnie wydawało im się, że w ten sposób zniechęcą potencjalnego najeźdźcę. Głupie! Płacz Janka zwabił gorsze zło. Na rozkaz Brody Tosiek, gdy skończą z kurami, miał zniszczyć gniazdo i skończyć z osami. Tosiek tylko przytaknął i nic nie powiedział. Zresztą jak zwykle.

Na drugi dzień wszedł między deski z naręczem chrustu i niewielkim naczyniem sypkiego wapna. Rozpalił chrust, w ten sposób, by wiatr nawiewał dym na gniazdo. Osy musiały się dusić, po owadziemu prychać jak konie, kaszleć jak ludzie. Tymczasem Tosiek ostrożnie podszedł do gniazda, niezauważony przez oszołomione owady, które latały bez ładu i składu, przesiąknięte trucizną, nabrzmiące duszącym dymem i spokojnie zaczął zasypywać gniazdo wapnem. Przed żądłami chroniły go grube rękawice i kombinezon. Na trzeci dzień powtórzył całą operację. Martwe odwłoki zasypały ziemię. To było ostatnie zadanie Tośka w gospodarstwie Brody.

Jak tylko wyjechał, wybuchła burza. Z nieba spadła woda. Takiej burzy nie pamiętali najstarsi mieszkańcy wioski. Przywabiona nad okolicę brzemienym w ołów ciałem przygniotła drzewka owocowe, kurniki, domy. Niektórzy szeptali, że to nadciągnęły potężne cienie, które z niewidzialnego świata wdarły się w świat widzialny, zwabione mordem i krwią zwierząt. Pioruny kęsały ziemię i topiły ją na kamienie. Wylała pobliska rzeka i kształtowała nowy świat. Wiatr wyrывał drzewa z korzeniami. Karłowate jabłonie leciały w górę, jakby gdzieś tam czekało na nie zbawienie. A przecież to była ironia natury, bo jako wyrosłe z ziemi, w ziemi powinny się rozpaść.

Wichura, rzeka i ulewa zmieszały gospodarstwo Bronisława Brody z błotem. Huk mieszał się z jego przekleństwami. Świat Brody legł w gruzach. Na jego oczach dach stodoły rozsypał się w poszarpane kawałki blachy, które fruwały nad głową jak cienkie płatki spalonego papieru. Oborę, choć podmurowaną, zaczęła podmywać wzburzona kipiela śmierdzącego mułu. Po kilku godzinach wiatr ustał, ale wciąż lała się woda. I tak będzie przez czterdzieści dni. Zabraknie czasu na schronienie.

A gdy woda opadnie w oborze zostaną napuchnięte świny i krowy. Trupy opite w nadmiarze, poprzewieszane przez ogrodzenia, wciśnięte w koryta, zaczną śmierdzieć. Nadciągną chmury much. Broda nieźle się naharuje przy sprzątaniu zwłok. By nie taplały się w ścierwie, wywiózł żonę i dzieci do teściowej do miasta. Miasto jest lepiej przygotowane na takie nieszczęścia. Tam natura nie ma takiej przewagi nad człowiekiem. Zabetonowana i wykarczowana, milczy zasypiana lawiną silników.

Na razie jednak oczom Brody objawiała się powódź. Został na gospodarstwie. Nie mógł opuścić swoich kur. Ktoś przecież musi pilnować dobytku, karmić głupie ptaki, przyglądać się, jak mury domu kruszy woda. Kurników nie zalało, bo stały na lekkim wzniesieniu. Broda zamieszkał w kantorku, w którym spał Tosiek. Dziewięć tysięcy świeżych niosek niecierpliwie gderało po swojemu. Za kilka dni przyzwyczają się do monotonnego szumu deszczu i zaniepokoją się, gdy go zabraknie.

A Broda patrzył na morze, które się nie kończyło. Patrzył w górę, w dół, dookoła. Wciąż padało. I kiedy się tak rozglądał, wydawało mu się, że stoi na górze Ararat i wie, za co ludzi zalało. A te małe wysepki suchego ładu, pozostały dla trupów. Wystawały spod smętnej polityry wody jak wyrzuty sumienia. „Ciekawe, czy zalało cały świat? Być może gdzieś indziej jest sucha ziemia...”, myślał sobie.

Poczuł się bardzo samotny. Brakowało mu gwaru ludzi, który często doprowadzał go do pasji, chaotycznego hałasu zwierząt, które teraz pływały martwe. Pierwszy raz tęsknił za żoną. Pragnął uściskać synów. Zobaczył lecącego ptaka. Jeszcze nigdy nie ucieszył

się tak na widok lecącego ptaka. Pal licha, jaki to ptak! Ważne, że jest. Wiedział, że jak się skończy powódź i tak wyjdzie na swoje. Najważniejsze, że nie zalało kurników. Niech ludzie gadają, że bogatemu diabeł dzieci kołysze. On na to gwizdże. Niech sobie myślą, co chcą. Nie każdemu nieszczęście rozdzielane jest równo.

Ptak. Odnawiał w nim siłę do nowych czynów. Te dwa kurniki są jego siłą. Niech no tylko skończy się ta cholerna powódź, a wszystko będzie dobrze. Tymczasem każdy dzień ulewy przygniatał go do ziemi. Po jakimś czasie Broda się zgarbił. Krążył wokół kurników z nosem przy błocie. Wyglądał, jakby szukał ziaren, czy jakiejś cennej pamiątki, która gdzieś się zapodziała, mniej więcej w tym miejscu, i teraz nasza go niepowstrzymana potrzeba, by ją odnaleźć. Był pewien, że jeśli ją znajdzie, zostanie mu wybaczone i wody opadną. Że gdy znajdzie, co zgubił, bezpowrotnie minie poczucie wyższości nad innymi i spłynie na niego szacunek dla wszystkiego, co żyje.

Podnosił się z czworaków i wypijał kolejną butelkę wódki. Wodniste piekło zalewało gardło, ale pomagało się podnieść. Wtedy Broda lekko zgarbiony chwycił wiadra pełne karmy dla kur i wchodził między rozkrzyczany drób. Jak nigdy dotąd czuł się wśród nich dobrze. Na swój sposób bezpiecznie. Pomiędzy tymi ptakami było mu ciepło i miło. Lepiej niż w domu, który spłynął już z wodą.

Kury wydziobywały ziarna, zanim wysypywał je z wiadra. Szczypały go w buty i delikatnie w ręce. Usiadł między nimi i poddał się tej dziwnej pieszczocie. Tylko nie w oczy! Tylko nie w oczy! Uśmiechał się. Mógłby tak przesiedzieć całe lata, ale gdy wody opadną, czeka go dużo roboty. Na początek sprzątnąć śmierć.